



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
 DLA DZIECI.

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

XI.

Styl romański.

Opowiadając wam o sztuce starożytnej, odróżnialiśmy architekturę rozmaitych narodów, Egipcyan, Assyryjczyków, później Greków i Rzymian; ale sztuka za czasów chrześcijańskich utraciła w znacznej części ten charakter odrębny, narodowy, gdyż wspólna wiara połączyła wszystkie ludy i natchnęła jedném uczuciem. Sztuka u chrześcijan musiała przybrać cechy odmienne. Gdy starożytni dbali przedewszystkiém o okazałość, wspaniałość, a później o piękność kształtów, chrześcijanie starali się przedewszystkiém nadać dziełom swoim wyraz, przemawiający do duszy, ażeby z tych pięknych kształtów można było wyczytać piękne myśli i wzniosłe uczucia. Przypomnijcie sobie lub odczytajcie to, cośmy przy rozpoczęciu tych pogadań mówili o ideale w sztuce, a zrozumiecie odrazu, że artyści chrześcijańscy musieli mieć inny ideał, jak artyści pogańscy, a zatem musieli dla niego szukać odmiennych kształtów. Duch ludzki



Katedra w Spirze.



wznosił się, zbliżał do Boga, a tworząc dzieła sztuki, uświłował nadawać im postać, nie tylko piękną, okazałą, ale i wzniosłą.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa architektura nie przybrała jednak odrazu tego wzniosłego, religijnego charakteru, sztuka nie była dla chrześcijan najwyższym celem istnienia, tak, jak dawniej dla Greków, którzy nadewszystko cenili piękność powierzchni, i za największe szczęście uważali napawanie wzroku widokiem cudnych pomników i posągów. Chrześcijanie pojmowali, że dla istoty nieśmiertelnej większe ma znaczenie *dobro*, doskonalenie ducha, aniżeli piękno, to jest doskonalenie smaku. Nauka Chrystusowa podawała im dobro i prawdę w słowie bożem, które wprost do pojęcia przemawia, nie potrzebowali więc do tego żadnych obrazów, przemawiających przez zmysły.

Ale człowiek powinien zużytkować wszystkie zdolności, jakimi go Bóg obdarzył; wszelkie umiejętności i sztuki nie przestały więc rozwijać się w czasach chrześcijańskich, przeciwnie podnosiły się wyżej, przybrały charakter poważniejszy i wznioślejszy. Artyści zaczęli czerpać natchnienie w religii i tworzyli arcydzieła, w których te piękne uczucia swojej duszy wyrażali. W architekturze naśladowali zrazu wzory dawniejsze, pogańskie, ale nieznacznie przekształcali je pod wpływem nowych wyobrażeń. Bazylika przybrała kształt krzyża łacińskiego, o krótszych bocznych ramionach, świątynia bizantyńska na wschodzie kształt greckiego krzyża, o ramionach równych. Budowle te stawiane były według wzorów architektury rzymskiej, która znów wiele sobie z dawniejszej greckiej przywłaszczyła. Najczęściej w tych chrześcijańskich świątyniach wmurowywano kolumny, kapitele i inne ozdoby, wzięte wprost z dawnych rozwalonych budowli greckich i rzymskich. Nie szukano też nowych kształtów, wszędzie widzimy tam półkuliste łuki, lub okrągłe kopuły, które są wybitną cechą stylu rzymskiego, ale je nieco zmieniono. I tak: u Rzymian łuki zaokrąglone nigdy się nie wznosiły swobodnie, ale zawsze były jakby uwięzione w ścianach prostych. Po nad łukami były gzemsy zwy-

czajne, a owo półkole wyglądało tylko, jak okno wycięte w murze, mającym brzegi równe ze wszystkich stron. Dopiero w bazylikach chrześcijańskich łuki ukazują się oswobodzone i unoszą się lekko nad rzędami kolumn. Widzieliście w ostatniej pogadance, jak ozdobne i fantastyczne postaci umieli im nadawać Maurowie, gdy sobie ten rodzaj architektury przyswoili.

Kopuła bizantyńska różniła się także znacznie od kopuły rzymskiej, którą widzieliśmy na Panteonie. Panteon Agryppy jest budynkiem okrągłym, rotundą, a kopuła szczelnie dokoła przypiera do muru. Tymczasem w świątyni S<sup>te</sup>j Zofii w Konstantynopolu okrągła kopuła wznosi się ponad nawą czworoboczną, jest więc jakby w powietrzu zawieszona, gdyż wspiera się jedynie na czterech filarach. I tu kształty ociężałe zmieniły się na lżejsze.

Długa nawa bazyliki łacińskiej nie nadawała się do półkulistej kopuły, miała więc zrazu strop równy, płaski, dla uniknięcia zbytniego ciężaru, budowany z drzewa. Budynek tym sposobem łatwo bywał narażony na pożar, nie dziw też, że probowano zastąpić sufit drewniany trwalszemu kamiennemu sklepieniem. Powstała ztąd nowa, wspaniała architektura, której możemy nadać ogólną nazwę chrześcijańskiej, gdyż pomniki jej rozsypane są po całej Europie, bez względu na narodowość, wszędzie, gdzie wyznawano religią Chrystusa.

Gdy różne plemiona barbarzyńskie zalały państwo rzymskie i pokonały jego potęgę, upadła dawna cywilizacya, ale nauki i umiejętności, przez starożytnych uprawiane, nie zaginęły, gdyż duchowieństwo chrześcijańskie starannie je przechowało. Podczas gdy na świecie wrzały wojny, zakonnicy, ukryci w ciszy klasztornych gmachów, gromadzili tam stare pergaminy, odczytywali je i przepisywali, uczyli młodzież, a zakładając coraz nowe klasztory w różnych okolicach, szerzyli wszędzie oświatę, starali się łagodzić obyczaje, i budzić zamiłowanie do rolnictwa, przemysłu, do nauki i sztuki.

Największe zasługi położył w tym zakon Benedyktynów, szczególnie też zasłynęło w całej Europie opactwo Cluny, założone we

Francyi na początku X wieku. Wiecie z historyi, że nasz Kazimierz Odnowiciel przebywał w tym klasztorze, a królowie polscy nieraz ztamtąd sprowadzali zakonników, aby zakładali klasztory na naszej ziemi i lud nauczali.

Z opactwa Cluny i innych klasztorów benedyktyńskich wychodzili także znakomici architekci. Z postępem oświaty, we wszystkich krajach chrześcijańskich chciano mieć okazałe i bogate świątynie, ale zabrakło już starych szczątków, greckich i rzymskich marmurów, trzeba więc było całkiem nowe budowle obmyślać. W XI wieku rozpoczął się wielki ruch budownictwa we Francyi, a zwłaszcza nad brzegami Renu; wszędzie wznosiły się przepyszne świątynie, które i dziś są przedmiotem podziwu i uwielbienia, gdyż były tak mocno budowane, że po większej części przetrwały aż do naszych czasów. Główną ozdobą kościołów są dzwonnice, których nie znano w najpierwszych wiekach chrześcijaństwa; dzwony dopiero w VI wieku rozpowszechnić się zaczęły. Wyniosłe wieże wiele wdzięku dodają budowie. Ale najznakomitszym postępem tej nowej architektury chrześcijańskiej były wzniesione sklepienia, które zastąpiły płaskie stropy. Dla utrzymania tak obszernych sklepień, urządzano szeregi łuków, układano je na krzyż, podpierano różnemi filarami, słupami, a wszystko to razem bardzo ozdobnie i bogato wyglądało.

Ten rodzaj architektury zwany jest stylem romańskim. Do najpiękniejszych gmachów romańskich zaliczona jest katedra w Spirze nad Renem, którą tu macie na rysunku. Zbudowana w XI wieku, świątynia ta uszkodzona była bardzo w czasie wojny w XVII wieku, ale ją odbudowano bez żadnej zmiany. W tej katedrze w Spirze w r. 1146 Ś<sup>ty</sup> Bernard wymownym głosem wzywał narody chrześcijańskie do wojny krzyżowej. W Moguncyi i w Trewirze są także bardzo piękne kościoły romańskie, a i we Francyi przechowało się ich nie mało; do najpiękniejszych zaliczają kościół zwany St. Germain des Près w Paryżu, kościół S-go Saturnina w Tuluzie i wiele innych.

Styl romański odznaczał się w początkach

wielką prostotą, później zaczęto kolumny, arkady i sklepienia pokrywać mnóstwem rzeźb ozdobnych, a ztąd ta druga epoka przezwana jest stylem romańskim kwiecistym. Wieże kościołów romańskich nie były jeszcze ani tak wysokie, ani tak wysmukłe, jak później w świątyniach gotyckich, o których teraz z kolei opowiadać będziemy.

M. J. Z.

## Z życia wielkiego wojewody.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

PAULINĘ KRAKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Nie mało lat ubiegło od chwili, gdy Piotr Hugo, syn Własta, po pierwszy raz spał pod jednym namiotem z przyszłym królem a druhem swoim; każdy rok naznaczonym został wielkim czynem wojennym lub pokojowym, a w każdym Dunin czynny brał udział. Bohaterski Bolesław nie spoczywał ani na chwilę, wierny zaś pierwszemu swemu przyrzeczeniu, Piotr czuwał nad nim i przy każdej sposobności piersią go swoją zastawiał.

Podczas jednej z rzadko się zdarzających chwil wytchnienia, Dunin pożegnawszy króla w Płocku pośpieszył do Soboty, by użyć wczasu i niektóre domowe sprawy załatwić, nim go na nowe powołają trudy. Roił się dom od licznych gości i ich służby, dworzanie i krewniacy, zastępując gospodarza, podejmowali ich hojnie i ohocho, pani domu w komnatach swoich, wysłanych i obwieszonych bogatemi kobiercami, przyjmowała znakomici i możne matrony, co sobie za obowiązek uważały córki swoje na dworze Maryi przedstawić i poznać z jej wychowanekami.

Wojewoda tymczasem w cichości u siebie najbliższych ugaszczal przyjaciół. W czy-



sto umiecionej izbie z wysokimi oknami i wielkim kominem, na dębowych ławach, przy prostym stole, zasiadło kilku poważnych mężów, z którymi zapoznamy się zaraz. Po między nimi w kamiennym dzbanie pieni się stary miód, w drugim stoi kryniczna woda, a tuż na podstawie w kształcie wózka podjechała mała beczułka ze srebrnym kurkiem, zawierająca słodki napój węgierski, w którym ziomkowie nasi zasmakowali podczas rycerskich za Karpaty wycieczek. Na bielych ścianach wisi kilka sztuk broni i ubranie bogato futrem oszyte, by w razie potrzeby pan domu mógł się szybko i przyzwocie ogarnąć, zwykle bowiem, jak i w obecnej chwili, na szacie z domowego płótna nosi barani kozuszek skórzany pasem ściśnięty; ujął dzban i własną ręką napełnia kubki stojące przed gośćmi, a potem, podniosłszy swój do góry, rzekł:

— Przedzrowie wasze, zacni panowie i bracia!

— Przedzrowie!—odpowiedzieli powstając obecni, a jeden z nich, spojrzawszy do kubka gospodarza, zawołał:

— Zdrada! stary towarzyszu, pijesz przedzrowie czystą wodą, a nas do miodu i wina zachęcasz?

— Nigdy się Dunin zdradą nie zmaże, panie z Ogrodzieńca; wiecie, że serce moje czyste, jak ta woda—odparł Piotr.

— Czyńcie jak rozumiecie—dorzucił siedzący obok niego poważny rycerz, w jedynej ręce czarę swoją podnosząc, bo drugą powyżej łokcia na wojnie utracił—pewna rzecz, że nie w winie, ale w chciwój i zazdrośnej duszy lęgnie się zdrada, a takiój niema pomiędzy nami.

Był to odważny i bitny Żelisław Belina, hetman i wojewoda, niestrudzony towarzysz królewski, który walcząc z pomorskim księciem Świętopelkiem, pomimo że rękę utracił, bitwę przeciw wygrał. Wdzięczny Bolesław lubo wiedział, że tej straty nagrodzić nie jest w stanie, kazał umiejętnemu złotnikowi ulać ze złota zbrojną prawicę i hetmanowi swojemu takową przez wspólnego przyjaciela Dunina przesłał, a zarazem nakazał do herbu Belina takąż zbrojną rękę na herbie odtąd dodawać.

Dzielny i jak złoto czysty charakter hetmana braterską życzliwością tchnął dla Piotra Hugona, przeczcuciem prawie niedowierzając Skarbimirowi z Ogrodzieńca, bo wtedy jeszcze nic nie zapowiadało, że wojownik ten sprzeniewierzy się kiedyś szlachetnemu i życzliwemu dla niego królowi.

— Żyjcie nam długo, wrocławski biskupie!—mówił znów Dunin, kubek swój do ust podniosłszy, a kubek wymienionego do beczułka z winem zbliżając.

— Wino do mszy!—odpowiedział Janisław, Janikiem zwany, zacny kapłan i założyciel później Opactwa Cystersów w Jędrzejowie.—Wino do mszy! Do napitku należcie słodkiego miodu, a poprawcie, coście zawinili, bo oto na ostatku dopiéro wymienić wam wypadnie męża, bez którego wszyscy jak tu jesteśmy zapadlibyśmy w cienie zapomnienia.

— W takim kole ciężki wybór—rzekł gospodarz—wasby tu jako w onój mglistej Anglii wszystkich przy okrągłym stole usadzić, boście wszyscy jednacy, a który z was lepszy, to tylko samemu Bogu wiadomo.

Tymczasem przez stół wyciągnęły się ręce ku nie staremu jeszcze człowiekowi w duchownych szatach, co skromnie spuściwszy oczy zdawał się zawstydzony zwróconą na siebie uwagą. Wyciągnął i on rękę i uściśnął po kolei podane sobie dłonie, mówiąc:

— Nie mam ja żadnej zasługi, że słucham, co się dobrego i wielkiego w kraju dzieje, a wróciwszy do celi spisuję sobie te rzeczy, jako wierny świadek.

— Nie co innego też czyni on Marcin Gallus, którego latopisy młodzieży w szkołach przepisywać kaza, a kto się ich dorwie, to czyta, jakby dopadł źródła krynicznej wody—rzekł Janisław.

— Cześć wam za to, mężowie pokoju! dodał Belina.

— Nie wiem—rzekł skromnie Mateusz Cholewa, kanonik naówczas stopnicki, a później krakowski biskup—nie wiem czy i jak podolałam pracy, którą sobie przedsięwzięłam, ale przynajmniej zbieram skrzętnie wiadomości u samego źródła i staram się podawać je bez zmażenia. Może się wam za to uprzykrzę nieraz panowie, nasłuchując

co prawie o wojnach i innych zdarzeniach, a osobliwie wam, palatynie, za którym nieraz jak cień się snuję; aleby to już ciężka była dla mnie pokuta, gdybym was, jeśli nie słyście, to przynajmniej widywać nie miał.

Wiedzieli wszyscy, że Mateusz herbu Cholewa gorącym był przyjacielem Dunina, i on sam był o tém mocno przekonany, podał więc życzliwie dłoń kanonikowi, mówiąc:

— Wiem ci, że na co innego wam się nie przydam, jeno do gawędy, to też dostarczę do waszój kroniki i teraz wiadomości, chociaż trochę postronnej, bo mam tu właśnie list z Bambergu, od świątobliwego Ottona, który mi opisuje prace swoje około nawracania na chrześcijańską wiarę onego Pomorza, co nas tyle krwi i tyle lat kosztuje znojów i zabiegów.

To mówiąc, dobył z za kożuszka złożony pergamin i podał go kanonikowi stopnickiemu, który uchwyciwszy go skwapliwie, zabrał się do odczytywania treści. Tymczasem pomiędzy obecnymi potoczyła się ożywiona rozmowa o tych bitwach z pogańską jeszcze słowiańszczyzną, która oświecana i nawracana życzliwie staraniem Bolesława III i gorliwością nauczyciela jego, Ottona świątobliwego, stawała się szybko bratnim i serdecznym sprzymierzeńcem Polski i jakby nowe ramię wyciągała się ku Odrze, a później ku Elbie, gdzie po pewnym przeciągu czasu w miejsce nieprzyjaciół, powstałi pobratymcy i wierni Polaków druhowie, jako z jednego pochodzący pokolenia.

— Można na nich liczyć śmiało—mówił Dunin—i moi przodkowie z nad Łaby przybyli, a tak mój ojciec, jak ja, głęboko w sercu naszą Polskę nosimy, jakgdybyśmy w niej jeszcze za Lecha osiedli.

Tu zapukano lekko do drzwi i wszedł niemi młody sługa, który słów kilka powiedziawszy wojewodzie i otrzymawszy jego odpowiedź, wyszedł.

— Pozwolicie, panowie—rzekł Piotr do swoich gości, że wam pod moim dachem przedstawię młodego wojaka, co o to się stara, by mi przy boku stanąć jako syn, zanim mój Idzi Świętosław dorosnie.

— Musi tego być godnym, skoro go przyjmujecie—rzekł biskup Janik—choć widzi mi

się, że moja chrzestniaczka Beatriks bardzo jeszcze młoda.

— Możemy poczekać, dostojny kumie—odparł Piotr Hugo—choć u nas, gdzie się codzien życie waży, radby człowiek widział zawczasu, kto po nim będzie opiekunem rodzinie.

— Dawno już waszój nie widziałem córy—rzekł Skarbimierz z Ogrodzieńca—musiała już na dorodną wyrosnąć dziewczkę. A czy zawsze tak dobra i liतोściwa, jak była przed laty?

— Matka pilnie ją zawsze hoduje, i Bóg łaskaw, zdrowo i pocziwie się chowa—odrzekł Dunin.

— Bo to powiem wam—mówił Skarbimierz, do towarzystwa—nie zapomnę nigdy, jak spotkałem przed kilkoma laty wojewodziankę.

— Powiedzcie o mojej chrzestniaczce, powiedzcie!—zachęcał Janisław.

— Powiedzcie!—powtórzyli drudzy ciekawie. Tylko Dunin niepokoił się nieco, nie rad, że o jego dziecku, a osobliwie o dziewczeczce, miało coś być głośno opowiadaniem, bo się z niczego chlubić nie lubił i żona jego byłaby niechętną, gdyby się o tém dowiedzieć miała.

Skarbimierz jednak już się rozgadawszy, nie uważał na to, i mówił dalej.

— Już to kilka lat temu, po ciężkim jakoś przednówku, wybrałem się odwiedzić wojewodę w Skrzynnę. — On tam dużo budował, a i ja chciałem wtedy ozdobić mój Ogrodzieniec i myślałem, że coś sobie po mojej myśli upatrzę i zdatnych robotników umówię.

— Żartujcie zdrowil!—przerwał Dunin.—Wszystkie budynki Skrzynna zmieściłyby się w jedną piwnicę waszego Ogrodzieńca.

— Wolno wam i to mówić! Ale przybyszy zastałem roboty przerwane; w okolicy panowały ciężkie choroby, a osobliwie straszna klęska na oczy. Ludzie ślepli jak kury na noc, i wojewoda kazał zawiesić wszystkie budowy, aby kurz z cegieł, wapna i kamieni nie szkodził pracującym. Cicho i smutno było wokoło, jak mary snuli się ludzie wynędzniali, ze strasznie zaczerwienionymi oczyma, aż mnie powiadam strach zdej-



mował, bo to kresa na ciełe mała rzecz, a jeszcze dla wojaka, ale oczy stracić i jasności dnia nie oglądać, zawsze straszno. Kiedy tak z myślami się ucieram, rozważając, czy nie lepiejby na inny raz odwiedziny odłożyć i zwracać do siebie, spostrzegłem opodal chatę jakąś i niezwycajne przy niej postaci....

— Cóż to było takiego?—zapytał Żelisław, widząc, że się mówiący zatrzymuje.

— Był to ubogi domek, przed którego drzwiami młoda znać kobieta, ale z głową obwiązaną i strasznie wynędzniała, przykłęła i złożyła ręce, jakby do modlitwy, a przed nią.....

— Stała pewno która z dworskich służebnic, wysłana z zamku z lekarską pomocą, przerwał Dunin z lekceważeniem.

— Toby mnie jeszcze nie tyle zadziwiło—mówił dalej pan z Ogrodzińca—wiedzą wszyscy, że wojewodzina w lekach umiejętna i zawsze ubogim pomoc rozsyła, ale nie żadna to była służebna. To była wasza córka, wasza jedyna, młodziuchna córka, wojewodo, co widząc, że wysłanki macierzy niechętnie się zbliżają do téj ciężko nawiedzonej chaty, *sama przyszła opatrzyć chorą* jój gospodynią, i kiedym się zbliżał, właśnie drobnymi rączkami omywała i owiżywała okropnie zapuchłe oczy kobiety.

— Niechże ją Bóg błogosławi!—zawołał wzruszony biskup wrocławski.

— Niech ją chowa na pociechę zacnym rodzicom—powtórzyli drudzy.

(d. c. n.)

## Srocza skrzeczy na płocie.

(Gawęda o Szymonie Szymonowiczu Bendońskim).

— Proszę cioci, czy dziś będą goście?

— Nie wiem, moja Anielko, nikogo się nie spodziewam.

— Ale bo, widzi ciocia, Joasia koniecznie się ze mną sprzecza, że muszą być dziś goście.

— Jak przyjadą, będziemy im radzi; ale

zkażdże Joasia ma taką pewność, że dziś będą goście?

— Ale bo, moja matuniu, w poniedziałek byli wujowstwo, we wtorek ksiądz proboszcz, we środę stryjek z Ignasim, we czwartek ciocia Mania z Jasiem, wczoraj... a kto to był wczoraj? prawda, doktor, to i dziś z pewnością kto przyjedzie.

— Być może, nie tak daleko od miasta, to może nas kto odwiedzi na naszej letniej siedzibie, a nawet masz słusność, moja Joasiu, będziemy miały najukochańszego gościa, bo to dziś sobota i tatko przyjedzie, aby z nami przebyć niedzielę.

— Tatko, mamuniu, to najmiłszy, ale nie gość, tylko swój, nasz; ale to taki prawdziwy gość musi przyjechać, bo jak tylko są goście w poniedziałek, to już i cały tydzień.

— A na téj zasadzie, to masz słusność, moja córko, ale wcale niemasz słusności, jeżeli wierzysz w to, że kiedy w poniedziałek się co stanie, to już cały tydzień ma się powtarzać.

— A jednak, matuniu, Marcinowa powiada, że jak tylko jój się co złego stanie w poniedziałek, to już cały tydzień rozmaite ją nieszczęścia spotykają. Mówiła, że zeszłego tygodnia, w poniedziałek, zdechło kurczę, to potem codziennie, albo kurczę, albo kaczątko ubywało.

— Nie rozumiem, jak możesz nawet powtarzać, co taka Marcinowa opowiada, taka prosta kobiecina, czegoż ona nas może nauczyć? prawda ciociu.

— I prawda, i nieprawda, moja Anielko. Prawda, że Joasia niepotrzebnie podziela wiarę Marcinowej w przepowiednię, co do poniedziałku; ale nieprawda, żeby *taka prosta kobiecina*, nie mogła nas czego nauczyć; bo w wielu razach jest od nas mędrszą, a z pewnością doświadczeńszą.

— Aha, panno Anielko, jak to poszło po nosie; ja ci to mówiłam, że Marcinowa jest bardzo dobra kobiecina.

— Wcale jój nie ujmuję dobroci, ale nie myślę wierzyć w rozmaite jój przesady.

— Wtém masz słusność zupełną; bo dla czegożby poniedziałek miał być tak nieszczęśliwym, lub szczęśliwym, że jak od niego się co rozpocznie, to już powtarzać się będzie

cały tydzień. Każdy dzień mamy od Boga, wszystkie więc jednakowo dobre, jeżeli dobrze postępujemy; ale że lud zaraz lubi podciągnąć rzecz każdą pod jakąś nadzwyczajność, ma więc rozmaite przesady, w które wierzyć nie powinniśmy, a zwłaszcza takie jak wy panienki, którym rzecz każdą staram się wytłumaczyć.

— O, już to ja wiem, czemu Joasia tak przepowiada gości!

— Podzielże się z nami tą tajemnicą, moja Anielko, bo może Joasia i naprawdę wie o jakich gościach, to trzebaby coś na ich przyjęcie przyszykować.

— Nie, ciotuniu, ona nic nie wie o gościach, ale jój się już nie chce siedzieć nad robotą, i dla tego radaby, żeby kto przyjechał.

— Ach, ty niedobra, żeby mię tak obmawiać, oho, już tego ci nie daruję! poczekaj! — i to mówiąc pochwyciła siedzącą na ławeczce towarzyszkę i zaczęła się z nią okręcać na wszystkie strony, obiegając klombik kwiatów dokoła.

— Widzisz, widzisz, tak, ani ja robić nie będę, ani ty, i musisz ze mną pobiegać, bo mama powiedziała, że możemy chodzić, biegać, ile nam się tylko podoba. Prawda, matuniu?

— Prawda, moje dzieci, biegajcie, ile chcecie, bo tej swobody nie macie w mieście; używajcie jój więc tutaj, urosńecie i będziecie zdrowe.

— Oho, tak urosniemy — rzekła swawolna Joasia i wskoczyła na ławkę. — O, jaka ja już duża! — a pocałowała matkę, zeskoczyła coprędzej, wołając:

— Chodź, matuniu, i ty z nami, tam dalej, na spacer.

— Dobrze, dobrze, moje dziewczki.

I złożony robotę, matka podążała za dziewczynkami, które wzięwszy się za ręce biegły co tchu do końca niewielkiego ogródka, aż nagle się zatrzymały.

— O, patrz Joasiu, siedzi tam ptak na płocie, może to sroczka, to nam powie, czy będą goście

— Aha, prawda! masz rację, Anielko! muszę jój się zapytać:

„Sroczka krzeczce na płocie, będą goście nowi

Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powie.

Gdzie gościom w domu radzi, sroczce zawsze wierzą,

I nie każą się kwapić kucharzom z wierzczą.

Sroczko, umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała

Z którejś strony goście jadące widziały?”

— O, widzisz, nie odpowiada, teraz ty jój się zapytaj, Anielko.

Anielka znów powtórzyła: Sroczka krzeczce na płocie i t. d.

— A wy z kąd to umiecie? — rzekła zbliżając się matka.

— A to, mamuniu, Marcinowa nas nauczyła; ona umie takie rozmaite piosenki i jak nam mama pozwoliła iść z nią na grzyby, to nam śpiewała — ozwała się rezolutnie Joasia.

— No, no, nie wiedziałam, że stara Marcinowa umie takie ładne wierszyki; toż to tam duch Szymonowicza się cieszy słysząc, że jego wiersze lud prosty powtarza.

— Jakiego to Szymonowicza, ciotuniu?

— A autora tych wierszyków.

— Jaktó, ciotuniu, toby autor się cieszył z tego, że taka prosta kobiecina, jak Marcinowa, umie jego wierszyki?

— A naturalnie, moja Anielko, największa to pochwała, największa zasługa autora, jeżeli go wszyscy rozumieją, od najwyższych do prostaczków; wtedy znać, że trafił do serca ogółu i potrafił o prawdziwie narodową nutę, którą lud chętnie przyswaja, stosując do rozmaitych chwil codziennego życia.

— A ja, proszę cioci, już słyszałam o rozmaitych autorach, i bardzo dużo różnych czytałam wierszy, a o tym Szymonowiczu jeszcze nie słyszałam.

— Oj ta Anielka, ta Anielka! jak to ona rozprawiał jakby jaka panna dorosła. Jak ona o czém nie słyszała, to już i dosyć; tyś taka chyba uczona, jak ta mysz, co to wszystkie książki zjadła.



— Joasiu, Joasiu, któż to tak się uszczypliwie wyraża?

— Ale bo, moja matuniu...

— Niech jój ciotunia da pokój, niech się sobie to małeństwo ucieszy! Brzęczy to i brzęczy, tak jak mucha.

— Tak jak mucha, około Anielki ucha! Tak jak osa, około Anielki nosa! Tak jak pszczoła, około Anielki czoła! Oj pszczoła naprawdę, a no! a precz! muszę się skryć przed tą pszczołą pod matusi chusteczkę.— I uczepiwszy się ręki matki, zakryła rogiem przezroczystej chustki całą twarzyczkę, idąc cokolwiek spokojniej.

— Czyś się już uspokoiła, Joasiu?

— Już, do usług panny Anieli, a cóż takiego?

— Ciesz mi to bardzo—rzekła Anielka—bo chciałabym się dowiedzieć, moja ciotuniu, czy to ten Szymonowicz pisał tylko dla takich prostych ludzi jak Marcinowa?

— Szymonowicz nie przeznaczał wyłącznie swoich wierszy dla takich prostych ludzi, według twego wyrażenia, czyli dla wieśniaków, bo w onym czasie, kiedy żył Szymonowicz, jakkolwiek było bardzo dużo ludzi uczonych, ogół jednak był jeszcze mało wykształcony, pisał więc dla tych, którzy stanowili główną część narodu, to jest dla ogółu, nie przeznaczając wyłącznie prac swoich dla nikogo.

— A kiedyż to Szymonowicz żył, moja ciotuniu?

— Szymonowicz urodził się za czasów Kochanowskiego, to jest w XVI wieku, około 1558 roku.

— Matuniu, to on żył tak dawno! przecież Marcinowa nie taka bardzo stara, żeby mogła takie dawne dzieje pamiętać.

— Oj, Joasiu, Joasiu! jaka z ciebie trzepekowska; czy to ludzie żyć mogą trzysta kilkadziesiąt lat?

— Jakto, trzysta kilkadziesiąt, zkadźcie ich tyle, Anielciu, naliczyła?

— Ale Anielka ma słuszność, żeś ty trzepekowska, i doskonale ci zwraca uwagę.

— W którym roku, matuniu, urodził się ten Szymonowicz?

— Już opuściwszy rok, powiem ci, że

urodził się w drugiej połowie XVI wieku, a umarł w pierwszej połowie wieku XVII.

— Aha, a teraz mamy XIX... o nie, nie, prawda, prawda, Marcinowa, nie mogłaby żyć blisko trzy wieki, czyli lat trzysta. Masz racją, moja Anielciu, oho! ty masz główkę! Ale zkadźce ona się tych wierszy nauczyła, bo przecież ona nawet dobrze czytać nie umie, i sama powiada, że jak weźmie książkę do nabożeństwa w niedzielę, to jój tak tańczą, tańczą litery przed oczami, a w końcu kinwie się i zaśnie, i dopiero się obudzi, jak ją kto trąci, albo głośniej zaśpiewają; niechże mi matunia powie, zkadźce ona może umieć te wiersze?

— Zapewne słyszała je od kogo, a ten ktoś może także zasłyszał od kogo, że zaś w ogóle wierszyki, które można zastosować do otaczającego nas życia, lud chętnie powtarza, więc i piosenka o sroczce stała się ludową, co przynosi sławę jej autorowi.

— Wie ciocia, że ta Marcinowa bardzo dużo umie rozmaitych piosenek i wierszyków; jedne z nich zapamiętałam, bo mi się bardzo podobały.

— A które, Anielciu, czy te, co to o słoneczku?

— Te, te, ale pozwól Joasiu, to ja je cioci powiem—i zaczęła:

„Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pięknego,

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.  
Ty wstajesz kiedy twój czas; jemu się zda mało,

Onby chciał, żebyś ty od północy wstało.  
Ty bieżysz do południa, zawsze swoim torem;

A onby chciał ożenić południe z wieczorem.

Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,

Inakszy upominek chowamy dla ciebie.  
Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pięknego,

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.  
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie;

A on wszystko porobić chce w jednej godzinie.







Ty czasem pieciesz, czasem wionąć wie-  
trzykowi

Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi,  
A on zawsze: pożyńaj! nie postawaj! woła;  
Nie pomnąc, że przy sierpnie trójpot idzie  
z czoła.

Słoneczko, śliczne oko, oko dnia pię-  
knego,

Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.  
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,  
Ale je prędko wiatry pogodnie rozgonią;  
A naszemu staroście, nie patrz w oczy  
śmiele:

Zawsze u niego chmura i kozieł na czele.  
Ty rosę hojną dajesz porankiem wstawa-  
jąc,

I drugą także dajesz wieczór zapadając;  
U nas pot do wieczora, zawsze od zara-  
nia:

Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śnia-  
dania...“

-- No, proszę, toż to Marcinowa chyba  
całego Szymonowicza umie na pamięć!

— Czy to i o tém słoneczku także Szymo-  
nowicz napisał, matuniu?

— A ja myślałam, proszę cioci, że te wier-  
sze nigdzie nie były drukowane, bo takie są  
proste, jakby je ułożyli ludzie, pracując przy  
żniwie.

— I w tém to właśnie największa zaleta  
poety, jeżeli umie tak odgadnąć i wnikać  
w myśli i uczucia osoby, którą przedstawia;  
a Szymonowiczowi trzeba oddać tę sprawied-  
liwość, że we wszystkich swoich utworach  
ma nadzwyczaj dużo prostoty. Pisał on po  
największej części wiersze, w których wystę-  
pują wieśniacy i pasterze, a w usta ich wło-  
żył wyrazy proste i niewymuszone, płynące  
wprost z serca, opowiadające ich codzienne  
prace i dla tego w końcu XVI wieku zyskał  
sobie sławę swojemi sielankami, to jest wier-  
szami, w których mówią i działają wieśniacy  
i wieśniaczki.

— A wie ciotunia, że ja czytałam raz ja-  
kąś sielankę, ale nie pamiętam czyją, byli  
tam jacyś pasterze i pasterki, ale oni tak mó-  
wili zupełnie, jakby jacy panowie i panie, ja  
nawet wcale tego nie rozumiałam.

— Nie wiem, moja Anielciu, jakąś ty czy-

tała sielankę; w każdym razie musiała być  
nie bardzo stosowna do twojego wieku i po-  
jęcia, jeżeliś jęj nie zrozumiała; dla wytłó-  
maczenia ci jednak, zkąd się wzięły takie  
sielanki, gdzie pasterze rozmawiają, jakby  
jacy panowie lub panie, powiem ci, że takie  
sielanki są naśladowaniem sielanek staroży-  
tnych greckich.

— Jakto, matuniu, to w Grecyi nawet pa-  
sterze byli tacy uczeni, że mogli rozmawiać,  
jakby jacy panowie?

— Tego ci nie powiedziałam moja córko;  
pasterze wszędzie byli pasterzami, a lud,  
zajmujący się robotami prostemi, nie mógł i  
nie miał nigdy czasu poświęcać się nauce;  
nie mogę więc was w błąd wprowadzać, mo-  
je dzieci, utrzymując, że greccy pasterze byli  
rozumni i wykształceni... (d. c. n.)

## GRABARZE.

Żyjąc w lesie, lub często a bacznie go  
przebiegając, z podziwieniem dostrzegamy,  
iż nigdzie całkowitych zwłok ptasich nie wi-  
dać, lubo pióra i kości nieraz wskazują, że  
tam drapieżny ciemiężca ucztę kosztem słab-  
szych współbraci odprawiał; a przecież nie  
wszystkie ptaki giną w trudach przelotu, nie  
wszystkie wpadają w sieci i sidła; cóż się  
więc dzieje z temi, które naturalną śmiercią  
kończą?

Bywają pogrzebione. Tak, u nich wcze-  
śniej daleko niż u ludzi nastał zwyczaj zwraca-  
nia ziemi tego, co z ziemi powstało, od  
wieków zadanie to spełniały pewnego rodza-  
ju owady, spełniają je dotąd i dla tego zowią  
się *grabarzami*.

Miewają one często pomocników do usu-  
nięcia z przed oczu upadłych ptaków i in-  
nych drobnych zwierzątek w żarłokach, już  
to pożerających mięso, już objadających ko-  
ści, ale to czyni każdy z nich na swoją dora-  
źną korzyść; grabarze tylko z myślą o przy-  
szłości pracują wspólnie, podług naprzód  
powziętego planu, i dokonywają właściwie  
pogrzebu.



Grabarze, nocne owady, ukazują się zwykle przy drobnych zwłokach, wkrótce po muchach *mięśarkach*, które za pierwsze głośnicielki zgonu uważać można. Wysoko rozwinięty wąż prowadzi je na miejsce, przybawają brzęcząc, opatrują uważnie szczątki i grunt, na którym spoczywają, a gdy się ich pewna liczba zgromadzi, rozpoczynają swoje działanie. Nie porywają się one na szczątki wielkich rozmiarów, albo spoczywające na gruncie kamienistym i twardym, który ich siłom nieprzewyciężone stawia przeszkody, potrzebują bowiem miękkiego gruntu dla wykonania swoich celów. Powzięty naprzód plan tém się ujawnia, że rozstawiają się w pewnych odstępach jeden od drugiego, i że częściowa robota każdego w dobrą całość się układa.

Podkopują się pod zwłoki, i zaczynają pracę, wybierając z pod nich ziemię przednimi nóżkami, a tylnymi wyrzucając ją poza siebie. Wkrótce tworzy się rowek, w który mały nieboszczyk własnym ciężarem się pochyła, a robota grabarzy zaczyna się z drugiej strony, i praca ta naprzemian trwa dopóty, dopóki zwłoki zupełnie z powierzchni ziemi nie znikną, na co często na całą stopę głęboki dołek wykopać potrzeba. Ale dla czegoż ci mali robotnicy przedsiębiorą tak mozolną pracę? Oto, dokonawszy dzieła, w spulchnioną ziemię składają jaja swoje, zapewniając tym sposobem przyszłemu potomstwu pożywienie, i opuszczają miejsce pogrzebu.

Widziałem rycinę przedstawiającą taką chwilę. Słowiczek nieżywy leży w lesie pełnym kwieciami i zieleni, otaczają go dzikie róże i niezabudki, dzwonki pochylają się nad nim, a z różanego krzaku spadają krople rosy, jak łzy, na zwłoki śpiewaka. Grabarze już się ukazali, z wierzchu brzęczy ich kilku, kilku ogląda pole przyszłej pracy, a jeden już ją zaczyna. W ciągu kilku godzin dokonają zadania, skończą swą pracę, a po słowiku, który może jeszcze tego ranka z czuciem i zapalem cudne pieśni wyśpiewywał, zostanie tylko małeńki wzgórek otoczony kwiatami, służący za ciche pole rozwijającemu się w jego głębi nowemu pokoleniu pożytecznych owadów. Z. Kr...

## Pieśni dawne i dawni pieśniarze.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Dalszy ciąg*).

— Wygrałeś, szlachetny rycerzu Gunterze—woła królowa, choć duma jej cierpi straszliwie—lecz nie koniec na tém! I w rzeczy samęj jeszcze dwie próby pozostały. Brunhilda chwytając jak piłkę olbrzymi kamień, silnym ramieniem przerzuca go daleko, ze strasznym zamachem, i w téjże chwili z nadludzką mocą też samę przestrzeń przeskakuje jednym potężnym skokiem, aż panцерz jej żelazny jęknął przeciągłym dźwiękiem. Lecz Zygfryd jak wichler pędzi za nią, jedną ręką w pół trzyma Guntera, drugą porywa kamień, wyrzuca, i z niepojętą siłą, dźwigając zawsze swój ciężar, przeskakuje większą jeszcze przestrzeń. Wtedy Brunhilda zwraca się do swojego orszaku i rzecze:

— Mężowie wojenni i wy szlachetni rycerze, oto od dziś wszyscyście króla Guntera poddani.

Tak Zygfryd dotrzymał przyrzeczenia; wnet tedy opuszcza dwór Brunhildy, najprzód udaje się do państwa swego, Nibelungen, zabiera kosztowne dary i śpieszy napowrót do Worms, gdzie oznajmia przybycie młodej królowej.

Nareszcie spełniają się najgorętsze życzenia rycerza, z rąk brata otrzymuje uwielbianą Krymhildę, i wspaniałe gody obu par królewskich obchodzą się wspólnie na zamku w Worms.

Nic nie brakuje do szczęścia Krymhildy, lecz druga narzeczona posępnie i złowrogo spogląda w około. Niespokojnie zbliża się Gunter do pięknej swęj małżonki i łyzy w jej oczach spostrzega; z trwogą pyta o przyczynę, a ta podstępnie odpowiada:

— Przykro mi to i boleśnie, żeś ty siostre jedyną oddał, nie księciu lub królowi, ale giermkowi, prostemu swojemu słudze. Wszak on sam mi się tak przedstawił, gdy przybył z tobą do mojej stolicy.

Gunter pociesza żonę, ale prawdy wyznać jej nie może, a królowa coraz silniejszym

podejrzeniem miotana, coraz więcej się dąsa, nareszcie wpada w zapęd wojowniczy i nie czekając nawet końca wesela, raz jeszcze chce się zmierzyć koniecznie z królem, swym małżonkiem. Lecz Gunter, własnym siłom zostawiony, nie zdoła się oprzeć strasznej czarodziejce. Brunhilda pokonywa go w jednej chwili, pasem swoim związuje mu ręce i nogi i zawiesza haniebnie na haku w swojej komnacie. Biedny małżonek musiał się upokorzyć i dopiero po długich błaganiach oswobodzony został.

Niespokojny, stroskany, znowu bieży po radę do Zygryda, a ten po raz drugi przywdziewa hełm zaczarowany, staje przy boku Guntera, pokonywa pyszną Brunhildę, lecz w czasie walki zabiera jej zręcznie pas i pierścien, w którym tkwiła nadprzyrodzona jej moc.

Tak więc ucicha groźna burza na Burgundzkim dworze, a Zygryd powraca do ojczyzny wraz z ukochaną małżonką. Ojciec, dumny z tak dzielnego syna, oddaje mu rządy państwa.

Mija lat dziesięć. Zygryd, władca Niderlandów, a zarazem pan tajemniczej północnej krainy i niezmiernego skarbu, którego posiadanie nadawało mu tytuł księcia Nibelungów, był jednym z najpotężniejszych królów, Krymhilda, małżonka jego, najpiękniejszą i najszczęśliwszą królową. Na domiar pomyślności, Bóg im daje syna. Lecz wkrótce na pogodnym ich niebie groźne gromadzą się chmury. Iskra zawiści, raz zatłona w sercu Brunhildy, nie przestaje się żarzyć i znowu królowa chytrze przemawia do swojego małżonka, skarżąc się, że Krymhilda zapomniła o rodzinnym domu, że od lat dziesięciu ani razu nie odwiedziła kochających braci.

— Wszak Zygryd jest sługą twoim — rzecze — a sługa na rozkaz pana pospieszyć winien nawet z najodleglejszej okolicy. Pisz do niego, niech nam przywiezie piękną Krymhildę, którą tak pragnę oglądać.

Niegodziwa ciągle przypomina, że Zygryd na jej dworze, w Islandyi, sam nazwał się giermkim Guntera, i udaje, że nie wie o jego królewskiej godności, a jednak widzieliśmy, jak go poznała od razu, gdy wszedł na

jej komnaty, jak go powitała po imieniu. Już wtedy wspomnieliśmy o tajemnicy, teraz pora ją wyjaśnić.

Zygryd, rycerz niezwykły, już dawniej kiedyś, szukając przygód i sławy, przestąpił progi potężnej Brunhildy. Wyzwany przez nią, pokonał ją z łatwością, lecz nie chciał dzikiej Walkiryi mieć za żonę, wzgardził nią i opuścił, a szczęście znalazł u boku kłiwiej i kochającej Krymhildy.

Dumna królowa nie mogła przenieść takiej zniewagi i poznawszy Zygryda, poprzysięgła mu zemstę na wieki. (d. c. n.)

## P R Z Y G O D Y NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

### II.

**Nieprzyjaciel. Walka. Straszna uczt. Ucieczka.**

Barthet i Guillois mieli wielką ochotę wyskoczyć z czołna i poszukać po lesie swojego opiekuna, ale pamiętni na jego przestrogi, nie śmieli ruszyć się z miejsca. Mbuna, murzynka, spostrzegła ich niepokój i rzekła:

— Momtu - Sambu przybędzie zapewne niezadługo, nie mu się złego nie stało, gdyż przez całą noc odzywał się z lasu i dawał nam znać o sobie.

— Co — zawołał Barthet w najwyższym podziwieniu — odzywał się, a ja nic nie słyszałem?

— A jednak Momtu-Kulu (człowiek biały) nie spał, jakże więc mógł nie słyszeć głosu ptaka tano?

— Czyżby ten głos ponury nocnego ptaka...

— Momtu-Sambu zapomniiał powiedzieć białym swoim braciom, że on zwykle tak daje znać o sobie; i on i Mkunia wybornie umięją naśladować ptaka tano, nicma godzi-



ny, jak ten głos słyszałam i to znacznie bliżej...

Murzynka ucichła nagle, wycężając słuch; ten sam głos ptaka dał się znowu słyszeć, ale miał jakiś dźwięk odmienny, przeciągły i powtarzał się szybko raz po raz. Mbuna rzuciła się gwałtownie do wiosła, odbiła od brzegu i szepnęła:—Prędko, karabiny, karabiny!—Dwaj młodzienцы pochwycili broń, a w téjże saméj chwili dzikie okrzyki przeszły powietrze na brzegu, z kąd łódka odpływała śpiesznie i murzyn z długą piką w ręku wskoczył do wody, podpłynął i uczeplił się łódki, usiłując ją przewrócić. Ale Mbuna z szybkością błyskawicy pochwyciła siekiere, którą Mkunia obcinał gałęzie i pieńki po drodze, i jednym zamachem roztrzaskała łeb napastnika. Murzyn przewrócił się, a struga krwi zarumieniła wodę. Drugi płynął tuż za nim, a niezrażony przygodą towarzysza, chciał łódkę pochwycić, lecz celny strzał Bartheta powalił go odrazu; Guillois wymierzył do trzeciego, stojącego na brzegu, ten odskoczył i cała zgraja zaczęła już tylko wrzeszczeć przeraźliwie, grożąc pikami, ale zaniechała dalszej napasci.

Roztropność murzynki uratowała naszych podróżnych. Ona zrozumiała znaczenie szczególnego nawoływania, było to hasło trwogi, przestrzegające o bliżkiem niebezpieczeństwie. W chwili, gdy łódka wypływała na środek rzeki, od strony lasu dały się słyszeć dwa wystrzały, popłoch powstał wśród zgrai dzikich na brzegu, bo dwóch znowu padło na miejscu; donośny głos Laeneka odezwał się nakoniec:

— Zabij, Leo, zabij!—wołał na brytana, który wybiegł naprzód z zarośli i pędził prosto na murzynów. Sześciu ich tylko pozostało na brzegu; widząc nowe i groźne niebezpieczeństwo, dzicy stracili głowę i wskoczyli wszyscy do wody; sądzili zapewne, że im się uda przepłynąć na drugi brzeg. Ale cztery strzały padły na raz, gdyż Barthet i Guillois dali ognia jednocześnie z Iwonem i Mkunią, wszystkie trafiły i dwóch już tylko napastników usiłowało ratować się ucieczką. Mbuna silniej wiosłować zaczęła, kierując łódkę tak, ażeby im przeciąć drogę.

— Nie puszczajcie ich, jeśli wam życie

mię!—wołał Laenek z brzegu. Lecz zanim dwaj młodzienцы zdążyli nabić karabiny, stała się rzecz okropna. Leo wskoczył do rzeki i w jednéj chwili dogonił zbiegów, a gdy jeden z nich zanurzył się w wodę, aby uniknąć strzału, pies znikł także na chwilę pod wodą; gdy wypłynął, miał pysk zakrwawiony i powierzchnia rzeki zaczerwieniła się w tém miejscu; okrutne zwierzę puściło się w pogon za ostatnim murzynem, który już prawie dopływał do brzegu. Nieszczęśliwy, widząc tę straszną pasczę zbliżającą się szybko i gotową pochwycić drugą ofiarę, rozpaczliwym ruchem zwrócił się do łódki i żalonym jękiem wyraźnie wzywał litości. Barthet i Guillois opuścili broń, żaden z nich nie miał serca strzelać do człowieka bezbronnego, nawet Laenek, chociaż nie był miękkiego serca, zawołał na psa i szybkim ruchem wstrzymał ramię Mkuni, który podniósł swój karabin i wymierzył prosto w łeb murzyna. Brytan był tak karny, że natychmiast zaprzestał pogoni, chociaż głuchem warczeniem objawiał swoje niezadowolienie; murzyn tymczasem dopłynął do łódki, gdzie dwaj młodzienцы pozwolili mu się schronić, a przezorna Mbuna związała mu natychmiast ręce i nogi mocnemi sznurami. Po chwili łódka znów się do brzegu zbliżyła, a Barthet i Guillois serdecznym uściskiem dłoni powitali Iwona. Znowu więc cała gromadka zasiadła razem i naradzać się zaczęła.

— Daj Boże—rzekł Laenek—ażebyśmy nie żalowali spełnienia dobrego uczynku. Gdyby ten lotr nam się wymknął, mielibyśmy niebawem na karku daleko liczniejszą zgraję napastników. Ta mała garstka, którąśmy pokonali, wysłana była na zwiaady przez wojownicze plemię Fanów. Tymczasem cała banda poszła inną drogą, a ci się trochę zapóźnili. Brakuje tylko, ażeby kto doniósł tym mściwym Fanom, żeśmy tak potraktowali ich towarzyszków, a niezawodnie z prawdziwą przyjemnością zawrócą z drogi i oddadzą nam wet za wet.

— Momtu-Sambu mądrze mówi—odezwał się Mkunia—i człowiek z czerwoną głową musi zginać.

Schwytany jeniec miał włosy czerwone, spalone wapnem.

— Nie, nie—zawołali obaj młodzieńcy—czyż potosiśmy go ocalili, ażeby go z zimną krwią zamordować? to byłby czyn niegodny ludzi cywilizowanych.

— Macie słusność, moi panowie—rzekł Iwon—niemniej jednak prawdziwy to jest kłopot dla nas, bo przynajmniej przez dziesięć dni musimy strzedz pilnie naszego więźnia, aby się nie wymknął. Dopiero po upływie tego czasu można go będzie wypuścić na wolność. A teraz nie traćmy czasu, im prędzej się ztąd oddalimy, tém lepiej.

Mkunia i Mbuna zaczęli wiosłować i łódka znów pomknęła chyżo po falach rzeki. Teraz Laenek zaczął opowiadać młodzieńcom przygody swoje w czasie pobytu na lądzie. Gdy z towarzyszem swoim, Mkunią, przybliżył się ostrożnie do tajemniczego ogniska, spostrzegł tam z dziesięciu dzikich, siedzących nad trupem i prowadzących ożywioną rozmowę. Iwon wysłał murzyna naprzód z poleceniem, aby pełzając po ziemi wśród zarośli podsunął się do nich, jak mógł najbliżej i podsłuchał, co mówili; sam zaś z psem pozostał w tyle. Mkunia powrócił wkrótce z wiadomością, że mała ta gromadka dzikich odbiła się od wielkiego oddziału, złożonego z kilku tysięcy wojowników z plemienia Fanów, którzy wybrali się na rabunek do okolic zamieszkałych po tej stronie puszczy. Jeden z tych maroderów, niewiadomo z jakiego powodu, stał się pastwą drapieżnego brytana i towarzysze zamordowanego naradzali się, jakby go pomścić najskuteczniej, spostrzegli bowiem łódkę białych ludzi i wiedzieli, że pies do nich należał.

— Uradzili—kończył Mkunia—ażeby iść w ślad za nami i upatrzeć podstępnie chwilę, gdy wypoczywać będziemy na brzegu. Grożą nam straszliwą zemstą, a tymczasem przygotowują sobie ucztę z resztek niedogryzionych przez psa.

Laenek sądził zrazu, że murzyn żartuje, ale gdy spojrział w stronę ogniska, zadrżał od stóp do głowy, chociaż życie na pu-

szczy przyzwyczało go do najwstrętniejszych widoków. Przekonał się, że ci ludzie byli rzeczywiście ludożercami, miał przed oczyma prawdziwie piekielny obraz. Płomień ogniska jaskrawym blaskiem połyskał wśród otaczającej ciemności, lekki wiatr kołysał gałęzie drzew i odsłaniał gromadkę tych potwornych postaci skulonych na ziemi. Nad ogniskiem zawieszona było wśród kłębow dymu ciało nieboszczyka na wielkich drewnianych tykach, a cała zgraja z wyrazem chciwości i żarłocstwa spoglądała na ten okropny przysmak. Laenek śledził przez całą noc wszystkie poruszenia dzikich, a gdy o wschodzie słońca obaczył ze swój kryjówki, jak się skradali do brzegu i szukali łódki, dał znak murzynce, że niebezpieczeństwo się zbliża. Resztę wypadków opowiedzieliśmy wyżej.

Przez dwa dni żeglarze nasi pośpieszali jak mogli, nie odpoczywając prawie, byle tylko oddalić się od miejsc, gdzie ich mogła doścignąć zemsta krwiożerczych Fanów; trzeciego dnia tak byli znużeni, że nawet Mkunia z trudnością poruszał wiosłem. Jeniec tymczasem nie okazywał najmniejszej ochoty do uciezki, poprzyjaźnił się nawet z Mkunią i Mbuną i ofiarował się wyręczać ich przy wiosle, ale Iwon nie chciał się na to zgodzić, i nie pozwalał mu rąk rozwiązywać, obawiając się zawsze podstępny. Po drodze mijali ciągle ogromne lasy, rozległe łąki, lub bagna niezmierzone, nigdzie nie napotkali żadnej istoty ludzkiej, tylko ryk zwierząt dzikich odzywał się z głębi lasów i puszczy. Laenek kazał wreszcie odwiązać jenca i pozwolił mu zastąpić Mkunię przy wiosle. Biedak okazywał wielką radość, zanucił jakąś pieśń dziwną i bez odpoczynku wiosłował przez całą noc; zrana, gdy słońce zajaśniało na niebie, dowódca kazał łódkę zatrzymać i zapowiedział dłuższy odpoczynek. Wszyscy wysiedli śpiesznie na brzeg i usadowili się w cieniu pięknych drzew tamaryndowych. Murzyn Mkunia, z polecenia dowódcy, oświadczył jencowi, że może się oddalić i powracać do swoich, gdyż teraz nie było już powodu obawiać się ich napasci. Ale ten smutnie pokręcił głową, patrzył na trzech Europejczyków z dziwnym



wyrazem żalu, w końcu rozplakał się, jak małe dziecko.

— Co ci jest—zapytał Iwon, w jego narzeczu—czy nie rad jesteś powrócić do swoich?

— Yombi nie może powrócić do swojego plemienia, bo tam go zabiją i zjedzą.

— A to dla czego?

— Bo Yombi powinien był zginąć lub pomścić swoich braci.

— Cóż więc myślisz zrobić?

— Yombi jest niewolnikiem białych ludzi, musi ich słuchać we wszystkim.

— Ale biali ludzie nie mogą cię z sobą zabierać.

— Yombi zostanie na puszczy i pożrą go tygrysy.

— Ma słusność—odezwał się Barthet—nie możemy go tu zostawić na pastwę dzikich zwierząt. Mój drogi dowódzco, pozwól mi go zabrać na własną odpowiedzialność.

— Tém chętniej się na to zgadzam—rzekł Iwon z uśmiechem—że to będzie, o ile mi się zdaje, wcale niezły nabytek. Ja się znam na tych ludziach; murzyn bywa bardzo zły, albo bardzo dobry. Ten wygląda na dobrego, a jeśli się pan z nim potrafisz obchodzić, będzie wierny i przywiązany, jak mój Mkunia.

Ale ten, słysząc te słowa, skrzywił się pocieszenie, porównanie mu się nie podobało wcale i wręcz powiedział swojemu panu, że ta głowa czerwona, pasąca się ciałem ludzkim, może posiadać co najwyżej przymioty brytana Leo. Yombi przeszedł ostatecznie na własność Bartheta. Dowiedziawszy się o takiem rozstrzygnięciu swojego losu, biedny murzyn zbliżył się pokornie do młodzieńca, upadł przed nim czołem do ziemi, potem nogę jego położył na swojej głowie, przysięgając obyczajem afrykańskim, że będzie mu służył wiernie, łowił dla niego zwierzyne i ryby, rozpalał ognisko i świeżą wodę nosił. Niewola jest w Afryce rzeczą tak zwyczajną, zwłaszcza dla jenców wojennych, że biedni murzyni wcale jej sobie za krzywdę nie uważają, jeżeli natrafiają na dobrych panów.

Chociaż Mkunia z góry spoglądał na nowego swego towarzysza, rad był jednak z silnego i roztropnego pomocnika. Obaj więc

z Yombim, z pomocą Mbuny, urządzili naprędce altankę z gałęzi, wysłali w nią miękkie posłanie i trzej Europejczycy odpoczęli nakoniec spokojnie po długich trudach. Gdy nadszedł wieczór, murzyni nabierali suchych gałęzi i rozłożyli wielkie ognisko dla odstraszenia drapieżnych zwierząt. Wieczera była wspaniała, Mkunia ułowił ryb w rzece, Yombi schwytał dwoje młodych kozłatek w leśnej kryjówce, zbierał też różnych dzikich owoców. Guillois z największym zajęciem oglądał każdą roślinę, potem z zachwyceniem patrzył w dal na piękny krajobraz, roztaczający się dokoła przy świetle zachodzącego słońca. (d. c. n.)

### Łamigłówka liczbowa. (M. K.)

Z 11 liter nazwisko sławnego historyka polskiego. Przystawiając litery otrzymamy:

5, 6, 7, 8, 10, Rzemieślnik. *Nazwa*

5, 2, 1, Rzeka w Polsce. *Sau*

10, 7, 11, 2, 3, Nazwa starożytnego władcy. *d*

3, 7, 1, Rzeka w Europie. *ren*

1, 7, 8, 2, Rzeka w Rosyji. *Stewa*

8, 9, 3, Miejsce niebezpieczne. *wi*

8, 9, 2, 3, 4, 5, Nazwa starego żołnierza. *wi*

1, 2, 3, 7, 8, Rzeka w Polsce. *Narad*

5, 6, 1, 4, 3, Przedmiot z nici. *sznit*

1, 9, 8, 2, Nazwa pisma peryodycznego. *w*

### Łamigłówka kryształowa. (H. z T.)

1) Litera.

2) Zwierzę.

3) Stacya kolei Terespołakiěj.

4) . . . . .

5) Rzecz nieprawdziwa.

6) Narzędzie zmysłu.

7) Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko sławnego malarza.

## Rozwiązania do Numeru 29-go.

## Łamigłówni zgłoskowej:

Kartum  
Ostade  
Ruryk  
Turkus  
Eskimosy  
Zaimek.

Kortez—Meksyk.

## Łamigłówni kryształowej:

S  
O K A  
M Ł A W A  
S K A R B E K  
B A B E L  
R E N  
K.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Annice, Antosiowi i Józiovi J. w Niszowcach. Wszystkie zlecenia naszych stałych i najmilszych korespondentów zawsze z wielką przyjemnością załatwiamy. Fotografia wysłana w liście rekomendowanym. Bukiety wysłemy za dni kilka, obstarowaliśmy je w fabryce kwiatów, aby taniej wypadły; z pewnością przed odpustem nadejdą. Ale nie darmo—za to prosimy kochanych korespondentów, aby przed oltarzem, na którym ustawią te bukiety, odmówili na naszą intencją pocierek.

P. Oldze D. w G. Odczytaliśmy list ze wzruszeniem. Miłość dla pamięci matki powinna zawsze dopomagać do wytrwania w dobrem, a zarazem być tarczą przeciw wszel-

kim pokusom złego. Bóg nie opuści sieroty, Jemu zaufać trzeba jedynie. Prosimy o dawanie nam o sobie wiadomości.

Julci i Stasi P. w Ekaterynosławiu. Przepraszamy bardzo za omyłkę w adresie; szkoda, żeśmy o tém wcześniej nie byli zawiadomieni. Wszelkie reklamacye powinny być zawsze jaknajspieszniej przesyłane do redakcyi, gdyż trudno jest niezmiernie ustrzedz się takich drobnych omyłek, z których jednak dla czytelników wynikają przykrości. Dziękujemy bardzo za uprzejmy przypisek. Śpiewkę wydrukujemy chętnie, ale nieco później, gdyż mamy dużo utworów muzycznych przygotowanych do druku. Pomimo najszczerzej chęci dogodzenia wszystkim kochanym prenumeratom, nie możemy częściej podawać nut w naszym Pisemku, raz dla braku miejsca, a potem, że to podniosłoby niezmiernie kosztą wydawnictwa.

Waciovi P. w Garwolinie. Największą to dla nas jest pociechą, gdy mili czytelnicy w Pisemku naszym znajdują przyjemność i zachętę do pracy. Za ładny i staranny liścik serdecznie dziękujemy.

Władziovi K. przy ulicy Orlej. Jakim sposobem liścik z datą 3 Kwietnia teraz dopiero rąk naszych doszedł, to prawdziwa łamigłównia? A może data przez nieuwagę mylnie napisana? upewniamy w każdym razie, że nigdy byśmy się z odpowiedzią tak nie opóźnili, tém więcej, że liścik poczciwy i serdeczny, bardzo nam przypadł do serca. Jeżeli *Wieczory* są *kochane* przez czytelników, to i czytelnicy serdecznie są *kochani* przez redakcyę. Wierszyk jest zřęcznie ułożony, drukować go jednak nie możemy—a dla czego? młodziutki autor zrozumie to za parę lat, jak będzie troszkę starszy.

Pani Maryi Ch. w Kazaniu. Pierwszy tom *Historyi* jest już wydrukowany, jak tylko wyjdzie z rąk introligatora, natychmiast rozesłany go wszystkim, którzy przedpłatę złożyli.

Pann Każ. F. stacya Olszanka. Prenumerata półroczna wynosi rs. 2 kop. 55. Otrzymaliśmy tylko rs. 2.

Dr. Hr. w Totmie. Otrzymaliśmy rs. 3, a ponieważ prenumerata półroczna wynosi 2,55, więc na historyę pozostaje tylko 45 kop., to jest przedpłata na 1 tomik, a nie na dwa.

Pann Gr. w Ludwikówce. Powyższa odpowiedź stosuje się także do listu z 3 rublami, który otrzymaliśmy od pana.

Pann W. w Libawie. Kwartał 2-gi *Wieczorów* wysłaliśmy powtórnie; pierwszy egzemplarz zapewne na poczcie zaginął. Prosimy o sprawdzenie na miejscu.

Pannu Rop... w Płonce. Na prenumeratę półroczną otrzymaliśmy rs. 2 kop 5, należy się nam jeszcze k. 50.

Doli C. w Dubnie. Pogadanki wysłane. *Historya* Polska Zdanowicza wyczerpana. Wszystkie książki na żądanie naszych prenumeratów wysyłamy.

Treść.—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Z życia wielkiego wojewody, powieść historyczna, (z drzeworytem), przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Sroczka skrzeczy na płocie. (Gawęda o Szymonie Szymonowiczu Bendońskim), przez Z. Morawską.—Grabarze, przez Z. Kr...—Pieśni dawne i dawni pieśniarze, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówni.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop=27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulca Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Юля 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.